Rok XXIV. We Lwowie, dnia 24. sierpnia 1917. Nr. 34.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13— K.
półroczna . 7— „
kwartalna . 3 50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Jeszcze o naszym indywidualizmie i o potrzebie organizacyi.

Artykuł Gaz. Kość. (nr. 32 z r. b.) o „naszym indywidualizmie“ trafił, jak sądzimy, w same sedno rzeczy. Główną przeszkodą, na którą napotykają wszystkie dążenia do organizacyi duchowieństwa, jest ten nasz indywidualizm. O wspólnej pracy, o wspólnych ideałach, o bojowaniu w zwartych szeregach za sprawę Bożą niema co mówić tym, którzy wolą działać na własną rękę, według własnych poglądów i upodobań, którzy wysuwają się wszędzie na plan pierwszy, nie lubią od nikogo przyjmować rad i wskazówek itd. Bardzo też dobrze powiedział czcig. Autor art. p. n. „Jeszcze o solidarności Duchowieństwa“ (nr. 30 G. K. z r. b.):

„Pomiędzy środkami, któreby tę upragnioną solidarność duchowieństwa stworzyły, jest jeden i to może najpotężniejszy, o którym zwykle zapominano z wielką szkodą dla samej akcyi, środkiem tym — według mego zdania — jest **jednolity pogląd na nasze powołanie i mniej więcej równomierne pogłębienie życia duchownego u kapłanów**. Ludziom świeckim łatwiej związać się w imię jakiegoś hasła, czy szczególnego interesu, gdyż tam każdy ma swobodę zapatrywania i wewnętrznych przekonań, byleby współdziałał zgodnie w osiągnięciu jednego wspólnego celu. U nas inaczej. U nas wszystko związane z wiarą, oparte na podstawie nadprzyrodzonej, nasz charakter, cała racya naszego bytu, każde nasze wystąpienie na zewnątrz — wszystko to powinno być wypływem wewnętrznego namaszczenia. Jeżeli kapłani będą mieli jednakie poglądy i idee, jeżeli ściśle i konsekwentnie stać będą na zasadach wiary i to nie tylko w teoryi, — wtenczas jedynie wystąpi na zewnątrz solidarność duchowieństwa w całym blasku“.

A dalej nie potrzebujemy chyba dowodzić w Gaz. K. prawdziwości zastrzeżenia, które dodaje Autor tego artykułu, że księża mogą organizować się tylko pod przewodnictwem Tych, którym poruczone są rządy Kościoła. Zawsze też, ilekrotnie pisaliśmy o solidarności i organizacyi duchowieństwa, mieliśmy na myśli tylko łączenie się do działania zbożnego według wskazówek Episkopatu, do walki w obronie wiary i Kościoła, do pracy dla dobra ogólnego. To ma być głównym celem wszelkich stowarzyszeń naszych: Towarzystwa wzaj. pomocy kapłanów, Związku katechetów i innych; — temu zadaniu ma służyć i nasza *Gazeta Kościelna* (chociaż uwzględniamy w niej także potrzeby doczesne kleru i uwzględniać je musimy, przynajmniej jako rzeczy mniej ważne w porównaniu z tem, co nas głównie zajmować powinno).

Wspominając tu o Gazecie, nie przemawiamy „pro domo sua“, lecz tylko w interesie samej organizacyi naszej, bo przecież nikt chyba nie zaprzeczy, że organ duchowieństwa powinien doznawać od niego poparcia moralnego i materyalnego. Można dążyć do stworzenia **nowego, lepszego** pisma, jeżeli kogoś nie zadowala Gaz. Kość.[1]), ale jakieś pismo jest nam potrzebne, żadne zaś nie utrzyma się i nie rozwinie w sposób pożądany, jeżeli mu nie dostarczymy dostatecznych funduszów. W organie tym swoim mogą czcig. Współbracia wyrażać swoje poglądy i wskazywać środki, które mają przyczynić się do lepszego połączenia sił naszych, do rozwinięcia akcyi społecznej i t. d. Niektórzy wprawdzie są przeciwnikami takich dyskusyi, a zwłaszcza czytają niechętnie głosy kapłanów młodszych, wypowiadających zdania ujemne, chociaż zgodne z prawdą, o postępowaniu z nimi starszych. Czyż jednak — pytamy — nie lepiej jest, jeżeli i młodsi

[1]) Pismo nasze ma niewątpliwie swoje braki i mieć musi, dopóki nie będzie miało stałego współpracownika, z którymby redaktor mógł podzielić się pracą. Dlatego prosiliśmy już nieraz czcig. Współbraci o zasilanie **funduszu prasowego** Tow. wzaj. pom. kapłanów choćby skromnemi ofiarami. Tymczasem jednak nie poczuwają się do obowiązku popierania Tow. kapłanów i jego organu właśnie ci, którzyby z najwydatniejszą mogli pospieszyć pomocą.
Dop. red.

mogą wywnętrzać się (w sposób oczywiście umiarkowany i taktowny) publicznie, niż kiedy pozostawia im się tylko „ius murmurandi“ we własnem gronie? W tym drugim wypadku szerzy się nieraz między młodymi przekonanie całkiem błędne, a zatruwające niejednemu serce goryczą, że o nich nikt się nie troszczy, że za to innym dzieje się nadto dobrze. Sądzimy, że takim nie zaszkodzi dać sposobność do „wygadania się“ — choćby na synodzie dyecezyalnym, albo przynajmniej w Gazecie, gdzie mylne ich zapatrywania mogą być sprostowane. Gorzej jest, jeżeli narzekają pokryjomu, a najgorzej, jeżeli wytaczają swe skargi wobec świeckich. *X. A. P.*

Spowiedź ex devotione.

W n-rze 5. (1917) „Theologie und Glaube“ ogłasza X. Prof. Dr. Rademacher (Bonn) o tej sprawie artykuł zasługujący naszem zdaniem na to, żeby go uchronić od przeoczenia przez szersze koła Czcigodnych Współbraci. Podajemy go więc in extenso.

Praktyka Sakramentu Pokuty doznała w Kościele rozwoju. Wyznawanie grzechów przed kapłanem istniało w Kościele zawsze. Najprzód zachodziła nieodzowna konieczność wyznawania t. zw. peccata capitalia (apostazya, fornicatio, morderstwo i grzechy pokrewne, por. Tertull. adv. Marcion. 4, 9; 1 Kor. 6, 9—10; Gal, 5, 19—21). Jeżeli grzechy były publiczne, to pokuta musiała być również publiczna; wyznanie grzechów tajnych nie było przynajmniej wymagane. Spowiedzi grzechów wewnętrzych również nie wymagano, ale ją zalecano. W wieku IV. spowiedź cicha staje się bardziej powszechną, publiczne wyznanie grzechów ustaje. Ale obowiązek wyznania grzechów zachodził i wtedy także tylko co do peccata capitalia w szerszem znaczeniu, t. j. grzechów ciężkich. Co jest grzechem ciężkim, tego teologia jeszcze nie była określiła niedwuznacznie. W parze jednak z wydelikaceniem sumienia przez moralność chrześcijańską i ascezę pojęcie grzechu ciężkiego doznaje coraz ściślejszego określenia.

Najpiękniejszym kwiatem i najcenniejszym owocem rozwoju dyscypliny pokutnej jest spowiedź z pobożności. Czy o ile wpłynęła na jej rozpowszechnienie częstsza spowiedź w klasztorach, uprawiana ze względów na karność zakonną, w to nie wchodzimy: w każdym razie sakramentalna spowiedź dewocyjna, dążąca do oczyszczenia duszy z peccata quotidiana, należy do najzbawienniejszych praktyk życia religijno-kościelnego. Członkowie innych wyznań, o ile się znają na psychologii, zazdroszczą nam jej. Wielką jej cenę stanowi, obok charakteru sakramentalnego, strona pedagogiczna. Z tej trzeba korzystać. Zdaje się atoli, że wywołane zwłaszcza dekretami papieskimi o częstszej Komunii św. coraz liczniejsze słuchanie spowiedzi przybiera coraz bardziej cechę rzeczy powszedniej, żeby nie powiedzieć, rzemiosłowej. Ale nie tylko o słuchaniu spowiedzi trzeba to powiedzieć, lecz także o odprawianiu spowiedzi przez penitentów.

Choć z jednej strony nieprawdą jest, co nam zarzucają, że mianowicie po swoich Sakramentach spodziewamy się magicznych skutków, to z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że praktyka duszpasterska mogłaby, a nawet powinna dążyć do wydatniejszego wyzyskania sił religijnych, które tkwią w spowiedzi. Dawniej już same surowe pokuty kościelne sprawiały, że Sakrament miał w sobie coś niezwykle poważnego. Dziś siła przyzwyczajenia przyczyniła się do tego, że w sprawowaniu tej świętości i korzystaniu z niej znać pewną powierzchowność. W ręku szerokich mas obniża się wartość nawet najwznioślejszych idei. Niebezpieczeństwo to jest większe przy spowiedzi dewocyjnej aniżeli przy obowiązkowej, bo ta jako Sakrament umarłych, dążąc do odzyskania utraconego stanu łaski, może większe robić wrażenie i do większej nakłonić powagi.

W odniesieniu do spowiedzi dewocyjnej praktyka duszpasterska niedomaga niejednokrotnie wskutek przeceniania strony sakramentalnej, a niedoceniania strony psychologiczno-pedagogicznej.

I. Nie należy przeceniać siły sakramentalnej Sakramentu Pokuty [1]). Przy spowiedzi obowiązkowej chodzi o odzyskanie stanu łaski (gratia prima), przy dewocyjnej zaś o pomnożeniu życia łaski (gratia secunda); dzieje się to częścią przez zgładzenie grzechów powszednich i usunięcie ich skutków, częścią zaś przez pozytywne i świadome prowadzenie penitenta do cnoty i doskonałości. To ostatnie można wprawdzie osiągnąć także po za spowiedzią, ale każdy przyzna, że niema innej sposobności tak korzystnej i pomyślnej dla pozytywnego wprowadzenia w czyn ideałów życia chrześcijańskiego, jak właśnie spowiedź prywatna. Wkorzenił się zwyczaj łączenia spowiedzi z Eucharystyą i traktowania spowiedzi jako przygotowania do Komunii św. Tymczasem właściwa istota i cel spowiedzi wcale nie zawiera tego związku z Komunią. Zwyczaj ten sprawia, że spowiedź dewocyjną odbywa się często jakby ad cautelam, po to, żeby się upewnić co do stanu łaski, potrzebnego do przyjęcia Komunii św. Wskutek tego nie myśli się już tyle o odrębnem, niezależnem od Komunii znaczeniu spowiedzi dla uświęcenia się. Inni widzą w spowiedzi pożądaną sposobność do „wygadania się“ albo de uspokojenia się co do skrupułów. Na ogół tedy spodziewają się ludzie od spowiedzi nie wiele więcej nad odpuszczenie grzechów lub pociechę duchowną, a jako środek do podniesienia życia religijno-moralnego ustępuje ona na plan drugi.

Ponieważ niejeden myśli tylko o tem, że spowiedź każda daje odpuszczenie pewnego quantum winy i kary grzechowej, dlatego zdaje się mu, że najwięcej zależy na ilości spowiedzi i że liczba spowiedzi w razie potrzeby może zastąpić ich jakość. Z drugiej strony częste słuchanie spowiedzi z powodu częstych Komunii obarcza duszpasterzy tak dalece pracą, że i oni także mniej wagi kładą na pojedynczą spowiedź i mniej troski jej poświęcają, polegając na tem, że ona przecież i tak skutki swoje wywrze, będąc wszakże Sakramentem. Przed takiem przecenianiem strony sakramentalnej spowiedzi niech ostrzegą następujące uwagi:

[1]) Prosimy naszych P. T. Czytelników, żeby zdania tego nie wyrywali z kontekstu rozprawy. *(Dop. tłumacza).*

1. Do odpuszczenia grzechów powszednich służą jeszcze inne środki, a nie tylko spowiedź. Najstarsi Ojcowie Kościoła mówią tu o skrusze, miłości, jałmużnie, modlitwie, cierpliwem znoszeniu dopustów Bożych, uczynkach miłosierdzia, nawracaniu błądzących, darowaniu uraz, a zwłaszcza o piątej prośbie „Ojcze nasz" — o spowiedzi nic. Jeżeliby spowiedzi należało przypisywać takie szczególne skutki, jakich się dzisiaj na ogół od niej spodziewamy, to czyżby Ojcowie mieli przeoczyć ten łatwy środek? Prawdą jest, że spowiedź jest Sakramentem, a tamte uczynki nie i że o tyle spowiedź jest od nich skuteczniejsza; nadto przy spowiedzi dewocyjnej schodzi się cały szereg okoliczności, które mają ten skutek, że za niemi idzie odpuszczenie grzechów powszednich, choćby już i Sakramentu nie było, więc: modlitwa, żal, publiczne wyznanie wiary, materyalne ofiary z czasu i wygody, upokorzenie siebie samego. Przez to wszystko spowiedź staje się pierwszorzędnym i niezbędnym środkiem do pielęgnowania życia religijnego. To wszystko jest prawdą. Ale prawdą jest i to także, że spowiedź nie jest jedynym, lecz zawsze przecie tylko jednym środkiem odpuszczenia grzechów i udzielenia łaski.

2. Od przeceniania strony sakramentalnej powinien powstrzymywać zasadniczy stosunek łaski do natury. Sakrament działa wprawdzie ex opere operato, t. zn. że specyficznie sakramentalną łaskę należy przypisać tylko zewnętrznej akcyi udzielonego Sakramentu. To zaś jeszcze nie znaczy, że miara skutków Sakramentu nie zależy od osobistego współdziałania. Brak tego współdziałania stanowi jedną z przeszkód skuteczności Sakramentu, o ile mianowicie skuteczność ta wskutek owego braku maleje. Zarówno majestat sprawiedliwości Bożej jak osobista godność człowieka wymaga stałej proporcyi między wymiarem łaski a współdziałaniem człowieka (o nadzwyczajnych działaniach łaski — cudach łaski — nie mówimy teraz). Łaska i współdziałanie z nią, to nie są dwa piętra jedno nad drugiem, ani dwie parcele jedna obok drugiej, ani nawet dwa elementy zmieszane ze sobą, lecz są to dwa principia przenikające się wzajemnie wewnątrz, a jednolite w swym bycie i w swej działalności, tak jak żywa i materyalna siła w organizmie fizycznym. Można to nazwać niewzruszonem prawem Boskiego porządku zbawienia, że Bóg nie działa tu niczego bez ludzi; w zastosowaniu do naszego przedmiotu znaczy to, że obfitość sakramentalnych skutków spowiedzi dewocyjnej przywiązana jest do zużytkowania duchowych i moralnych naturalnych źródeł siły po stronie penitenta, oraz do umiejętności i zapobiegliwości pedagogicznej po stronie spowiednika.

3. Doświadczenie duszpasterskie również nie pozwala przeceniać sakramentalnej strony spowiedzi dewocyjnej. Codzienna Komunia jednemu pomaga do rzeczywistej cnoty i świętości, a u drugiego nie zostawia żadnych śladów swego działania, zależnie od tego, czy dany osobnik po za Sakramentem obowiązek dążenia do doskonałości traktuje poważnie lub nie. Częste spowiadanie się niejednej pobożnej osoby, choć żadna z tych spowiedzi nie jest niegodna, również nie przynosi często prawie żadnych owoców. Któryż duszpasterz nie zna tych postaci niesympatycznych, co za nic w świecie nie zaniedbają żadnej sposobności do wyspowiadania się i przyjęcia Komunii, a po za kościołem i w domu są wprost nieznośne dla otoczenia! Przecenianie strony sakramentalnej częstego spowiadania się i komunikowania u niejednej tak zwanej pobożnej duszy stwarza iluzyę doskonałości, gdzie w rzeczywistości jest tylko zewnętrzna świętość, zasadzająca się na pełnieniu pewnych uczynków; można też u takich osób zauważyć ową dumę cnotliwości, której się zdaje, że otrzymała dyspenzę od obowiązku ciężkiej pracy nad sobą, a która to duma stanowi nawet przeszkodę do poznania tego, coby należało jeszcze naprawić.

II. Z dewocyjnej spowiedzi trzeba w większej mierze, aniżeli się to zazwyczaj dzieje, korzystać pedagogicznie dla postępu w cnocie. Trudno co prawda żądać od każdego spowiednika, żeby był psychologiem, pedagogiem lub psychiatrą fachowym. Ale chociaż teoretyczne wiadomości z tych dziedzin mogą być bardzo użyteczne dla praktyki duszpasterskiej, to przecież większą wartość posiada pedagogika i psychologia praktycznego rozumu, oraz zdobyte w zawodzie doświadczenie, połączone z tą gorliwością duszpasterską, która wiedziona zdrowym instynktem, darzy penitenta należnem zrozumieniem i sprawia, że ten mimowoli nabiera świadomości o wartości swej duszy.

W szczególności należy tu przytoczyć dwa postulaty, wynikające z zasad pedagogicznych:

1. Indywidualne ocenianie penitenta.

Każda dusza ma swoją indywidualną fizyonomię. Między ludźmi niema sobowtórów, także pod względem psychicznej organizacyi. Pod równobrzmiącemi oskarżeniami na spowiedzi mogą się ukrywać faktycznie olbrzymie różnice stanów psychicznych, choćby penitent nawet nie miał zamiaru świadomego upiększania sprawy. Penitent zazwyczaj nie posiada wielkiej zdolności reflektowania nad samym sobą, — sądzi on, że spełnił swój obowiązek, wyliczywszy swoje grzechy. Za to spowiednik nie powinien sądzić, że spełnił swój obowiązek, wysłuchawszy tych grzechów: on powinien umieć czytać pomiędzy słowami penitenta, żeby sobie wyrobić zdanie, któreby odpowiadało nie tylko kazuistyce, lecz o ile możności także sądowi Boga. Są przecież ludzie, którym nic nie można zarzucić ze stanowiska kodeksu prawa pisanego, a którzy mimo to etycznie stoją o wiele niżej od innych, którzy może dopiero po długim oporze i wielu walkach, wyczerpani temi walkami, dali się uwikłać przez grzech i upadli głęboko, ale na dnie duszy przecież dla Pana Boga są lepsi od tamtych. Dzisiaj znamy już o wiele lepiej te liczne, laikom nieznane, przeszkody i tamy wolności woli, które całości życia psychicznego nadają cechę zgoła odmienną od tej, któraby wynikała z drobiazgowego stosowania litery zasad teologii moralnej. Oskarżenie się przez penitenta powinno właśnie dać podstawę do takiego wszechstronnego obrazu stanu psychicznego, od którego zależeć będzie, czy spowiednik ma go oceniać łagodnie lub surowo, czy ma energicznie stanąć w obronie znieważonego porządku lub też być pobłażliwym i zdobyć się na pełną miłości cierpliwość.

W związku z tem pozostaje drugi obowiązek spowiednika i kierownika dusz: powinien on mianowicie starać się o to, żeby poznał raczej habitualne skłon-

ności penitenta aniżeli pojedyncze akty, a zatem powinien nakłaniać penitenta, żeby rachunek sumienia skierowywał i rozciągał bardziej na owe skłonności aniżeli na pojedyncze czyny. Bo ze skłonności habitualnych płyną czyny, jak skutki z przyczyn albo zdarzenia z warunków. Wielu spowiada się w dobrej wierze ze wszystkich możliwych grzechów, tylko nie z tych, które rzeczywiście popełnili, bo patrzą tylko na powierzchnię życia swego, uczuciowego i skłonnościowego, a nie na wnętrze życia charakteru i woli. O. Tissotowi należy się ta zasługa, że mówiąc o środkach uświęcenia samego siebie, bardziej od innych autorów zwrócił uwagę na głębsze przyczyny i warunki błędów aniżeli na same błędy.

2. Indywidualne traktowanie penitenta. Spowiednik powinien umieć ocenić, czego się mu wolno spodziewać po już istniejącej albo dopiero spodziewanej dyspozycyi penitenta i do tego zastosować swoje obchodzenie się z nim. Żelazo nigdy nie bywa tak gorące do kucia, jak przy spowiedzi, zwłaszcza dewocyjnej, bo tutaj wolno przyjąć, że istnieje przynajmniej ogólna intencya postępu w życiu religijnem. Niejeden spowiednik nie zdaje sobie sprawy, jaka olbrzymia siła suggestyi tkwi w słowie jego kapłańskiej „nauki" przy spowiedzi, abstrahując nawet od Sakramentu. Podczas kazania duszpasterz ma sprawę z tłumami, przy spowiedzi zaś z indywidualnościami; dlatego szablonowe postępowanie nigdzie nie jest mniej wskazane, jak tutaj. Jeżeli spowiednik, pojmując swój urząd bardzo wzniośle, widzi, że skutkiem takiego właśnie pojmowania musi lepiej natężyć uwagę, postępować roztropniej i miarkować się więcej, co wszystko wymaga więcej trudu, to trud ten osłodzi mu myśl o godności Sakramentu i o wspaniałych korzyściach, które może zdobyć dla królestwa Bożego. Przecież spowiednik nie jest robotnikiem za pieniądze, lecz pasterzem dusz.

a) Spowiedź powinna się odbywać tak często, jak tego wymagają indywidualne potrzeby penitenta. Dla jednego spowiedź tygodniowa może być bardzo pożyteczna, dla drugiego będzie ona może tylko marnowaniem czasu. Zasada „Quotidiana vilescunt" na jednego działa bardziej, na drugiego mniej. Dekrety Piusa X. o Komunii św. przeszły nad kazuistycznymi przepisami moralistów o warunkach częstszego przystępowania do Komunii św. z takim spokojem do porządku dziennego, że wszyscy uwielbiali wielkie serce i prawdziwie chrześcijańską śmiałość i swobodę, która się w nich objawiła. Papież uznał w ten sposób, że katolik ma prawo do „osobistej pobożności", za co Piusowi X. należy się szczególna wdzięczność. Papież, pozwalając wprost samym wiernym decydować, jak często mają przystępować do Stołu Pańskiego, podał także co do spowiedzi cenną wskazówkę: niech penitenci sami ponoszą odpowiedzialność za liczbę swoich spowiedzi. Boć jeżeli do codziennej Komunii wystarcza stan łaski i czysta intencya, to trudno pojąć, dlaczegoby się miało surowiej traktować spowiedź, będącą przygotowaniem nie do jednej, lecz do kilku Komunii, chyba, że chodzi o spowiedź obowiązkową. Biorąc sprawę przeciętnie, spowiedź tygodniowa nie posiada tej wartości, którą jej penitenci przypisują pod wpływem odziedziczonego przesądu, jakoby spowiedź i Komunia stanowiły moralną jedność. Lepiej rzadko a dobrze, niż często a powierzchownie! Jest chyba dość dużo takich chrześcijan, którzyby mogli i chcieli komunikować częściej, gdyby nie myśl o spowiedzi, która ich albo odstrasza albo na którą nie mają czasu. Jak cenną być może częstsza spowiedź dla osób z ciężkiemi pokusami albo z naturą namiętną, stając się ich sprzymierzeńcem w walce, tak mało skuteczną może ona być dla charakterów przeciętnych lub flegmatycznych. Dla wielu wystarczy spowiedź miesięczna, albo jeszcze rzadsza, żeby bez dalszych ograniczeń mogli przyjmować Komunię św. Wiernych trzeba przyzwyczajać do tego, że jedna Komunia jest przygotowaniem do drugiej, że tu chodzi raczej o całe prowadzenie się po chrześcijańsku aniżeli o minuty religijnego podniecenia przed Komunią, które zresztą jest mniej lub więcej uczuciowej natury, że przystępowanie do Sakramentów jest tylko środkiem do nabycia cnoty i to tylko jednym z pośród wielu innych, a nie znakiem cnoty lub nagrodą za nią, a wreszcie, że przy przygniatającem uczuciu winy i grzechu także Komunia św. posiada moc zadosyć czyniącą.

Spowiedź tygodniowa lub dwutygodniowa nie może być ideałem dla wszystkich już z tego powodu, że jeżeliby dekrety Piusa X. weszły w życie choćby tylko jako tako, duszpasterze absolutnie nie będą mieli dość czasu na wysłuchanie tych spowiedzi. Przecież już przy obecnym stanie rzeczy słuchanie spowiedzi absorbuje do tego stopnia wszystkie siły i wszystek czas księży, że spełnianie innych pilnych obowiązków kapłańskich, jak n. p. przygotowanie kazań i katechezy, duszpasterstwo domowe, a nie na ostatku osobiste dalsze kształcenie się przez studyum teologii, wystawione bywa na szwank. Spowiedź tygodniowa da się jeszcze najprędzej usprawiedliwić w klasztorach, gdyż tam dążenie do doskonałości jest obowiązkiem stanu, a warunki rzeczywiście owocnego korzystania z błogich skutków takiej spowiedzi zazwyczaj istnieją tam w takim stopniu, jaki gdzieindziej chyba nie da się osiągnąć. (Dok. nast.).

Śmierć żołnierza chrześcijanina w świetle religii [1]).

Te stosy trupów, które zalegają od trzech lat kwitnące niegdyś niwy tylu krajów europejskich, narzucają każdemu dręczące pytanie: jak mamy pojmować tę rzeź ze stanowiska religii, — czemu Bóg na nią zezwala, czy może z niej coś kolwiek wyniknąć dobrego? — Na to daje odpowiedź ocena chrześcijańska zgonu żołnierza, walczącego w wojnie sprawiedliwej, w sprawie Bożej, w obronie ojczyzny.

Pytaniem, czy i o ile śmierć bohaterska za ojczyznę może być uważaną za męczeństwo, zajmowało się już kilku pisarzy [2]). Najgłębiej zaś ujął je X. dr. Rackl, który

[1]) Tu korzystamy z art. X. prof. Dra Grabmann'a w Kath. Kirchenzeitung (nry 31 i 32 z r. b.).

[2]) Dr. Dörgens „Von der Eigenart des christlichen Martyriums" i dr. J. Peters „Das christliche Martyrium" (obie rozprawy w dodatku literackim do „Köln. Volkszeitung" 1915 nry. 7 i 8); — dr. Kranich „Ist Kriegertod Martyrium"? (Braunsberg 1917); — dr. Rackl „Ist der Tod fürs Vaterland ein Martyrium"? (Eichstädt 1917). Drugą rozprawę pod tym samym tytułem wydał dr. Rackl w Monachium 1917 (cena 50 fen.) dla kół najszerszych.

zestawił zdania teologów katolickich od św. Tomasza o śmierci żołnierskiej. Teologowie czasów dawniejszych oświetlili wszechstronnie w swoich badaniach szczegółowych stosunek chrześcijaństwa do wojny. Wszakże A. T. Schiara wydał nawet „teologię wojenną" (Theologia bellica. Rzym 1703) w trzech foliałach.

Miłość ojczyzny i śmierć za ojczyznę jest w oczach chrześcijanina i katolika czemś szlachetnem i wzniosłem, śmierć za ojczyznę jest aktem cnoty heroicznej, jeżeli żołnierz powoduje się pobudką chrześcijańską, religijną, nadprzyrodzoną. Chcąc jednak odpowiedzieć dobrze na pytanie: „czy śmierć na polu walki jest męczeństwem w znaczeniu prawdziwem i właściwem tego wyrazu"? — musimy najpierw określić dokładnie pojęcia: „męczeństwo" i „męczennik". Przez „martyrium" rozumiemy, jak wiadomo, w znaczeniu najogólniejszem złożenie świadectwa dla pewnej prawdy lub pewnego faktu, a w ściślejszem znaczeniu, w języku N. Zakonu, stwierdzenie wiary w Jezusa Chrystusa. W języku Ojców i Kościoła są „męczennikami" ci, którzy krwią swoją i śmiercią składają świadectwo wierze chrześcijańskiej. Ponieważ jednak zakres wiary i Objawienia obejmuje także prawdę moralną i wykonywanie cnoty chrześcijańskiej, a każda cnota chrześcijańska jest praktycznem wyznaniem wiary, więc trzeba uważać człowieka, który umiera śmiercią gwałtowną w obronie cnoty, albo wypełniając jakąś cnotę chrześcijańską, za męczennika w prawdziwem i właściwem znaczeniu tego wyrazu.

Tu powołuje się X. Grabmann na św. Tomasza, według którego każda cnota może dać sposobność do męczeństwa, jeżeli odnosi się do Boga i kieruje pobudką porządku nadprzyrodzonego. Przytaczamy tu ustęp ten z Summy teol. (2-a 2-ae qu. 124, art. V.) w oryginale: „Omnium virtutum opera, secundum quod referuntur ad Deum, sunt quaedam protestationes fidei, per quam nobis innotescit, quod Deus huiusmodi opera a nobis requirit et nos pro eis remunerat: et secundum hoc possunt esse martyrii causa". Rozstrzygającym momentem jest przyczyna męczeństwa („Martyrem non facit poena, sed causa"); męczennik trzyma się silnie wiary, albo nie chce wyrzec się cnoty chrześcijańskiej z miłości ku Chrystusowi i dlatego ponosi śmierć.

Czy te znamiona dadzą się wykazać w śmierci żołnierza na polu walki? — Na to pytanie odpowiada X. Rackl a za nim X. Grabmann twierdząco: jeżeli żołnierz walczy i pada w interesie religii chrześcijańskiej, albo spełniając akt jakiejś cnoty chrześcijańskiej; ten wypadek zachodzi, gdy on pojmuje po chrześcijańsku miłość ojczyzny jako objętą przykazaniem miłości bliźniego, gdy wyrusza do walki z miłości ku Bogu, powodowany miłością chrześcijańską ojczyzny, żony i dzieci, gdy z poczucia obowiązku pozostaje wierny złożonej przysiędze, że wytrwa do śmierci przy swojej chorągwi.

Są wprawdzie różnice bardzo znaczne — trzeba tu dodać — między męczeństwem w znaczeniu zwyczajnem i tradycyjnem a śmiercią żołnierza na polu walki: ten bowiem 1. nie naraża życia swego dobrowolnie (a przynajmniej trzeba to powiedzieć o największej części wojowników), lecz zmuszony koniecznością, bo uciekający okrywają się hańbą i ściągają na siebie najsurowsze kary; — męczennicy zaś byliby mogli jednem słowem uwolnić się od katuszy i zyskać największe nagrody. 2. Żołnierze nie idą na śmierć *pewną*, tylko narażają się na *niebezpieczeństwo* śmierci mniej lub więcej prawdopodobne; wiedzą też, że „audaces fortuna iuvat", że im dzielniej będą się potykali, tem łatwiej wyjdą cało; — męczennicy zaś wiedzieli, że czeka ich śmierć pewna wśród strasznych udręczeń. 3. Śmierć żołnierza jest zwykle nagła, a więc nie połączona z gwałtownemi boleściami; — śmierć męczenników przewlekła i straszna. 4. Ci poddawali się katom spokojnie, bez żadnego gniewu i żądzy zemsty, przebaczając im z całego serca, pokorni i nie ufając własnym siłom; — żołnierze zaś rzucają się w bój, dysząc zwykle gniewem i zemstą, porwani ślepem uniesieniem, licząc na swoje siły. 5. Męczennikom nie przyświecała żadna nadzieja jakiegokolwiek zysku; — żołnierzy zaś pobudza nadzieja zdobyczy, sławy, zaszczytów, nadzieja ocalenia się z niebezpieczeństwa [1]).

Ale pomimo tych różnic można n. zd. przypuścić o bardzo wielu żołnierzach, którzy po chrześcijańsku pojmują swój obowiązek, że padając na polu walki, zasługują sobie na koronę niebieską, bo usposobienie ich zbliżone jest do stanu duchowego męczennika. W świetle tego pojęcia staje się nam jasną wartość i znaczenie wojny: możemy pocieszać się nadzieją, że krew tylu braci naszych nie popłynie napróżno, ale będzie nowych chrześcijan „nasieniem"!

X. N.

„Walka o język".

(Ciąg dalszy).

Według naszego zdania najlepiej będzie, jeżeli przyjmiemy wszyscy pisownię, którą już można uważać za mniej więcej ustaloną, — jeżeli tylko nie zawiera przepisów niewątpliwie *błędnych*. Najwięcej argumentów da się przytoczyć w obronie pisowni, wprowadzonej do szkół galicyjskich na podstawie uchwał Akademii umiejętności z r. 1891, a przyjętej także w Wielkopolsce. Tylko w niektórych punktach mniejszego znaczenia należałoby ją zmienić, a w szczególności nigdy nie mogliśmy się zgodzić na pisanie w II. przyp. liczby mnogiej: „komi*syj*", bo *nikt tak nie mówi*, jak słusznie stwierdza Bruckner (na str. 102). Nie rozróżniamy dzisiaj „tych mszy" od „tej mszy" w pisowni, więc obejdziemy się i bez „waka*cyj*" „organiza*cyj*" i t. d. Wprowadzenie *j* zamiast *y* w wyrazach obcego pochodzenia przez literatów warszawskich nie przyczyniło się do ujednostajnienia pisowni, — przeciwnie wywołało jeszcze większe zamieszanie, bo to *j* kłóci się nieraz najwyraźniej z wymową, jak n. p. w przymiotniku: „aust*rja*cki", więc jedni dodają jeszcze do niego: *y*, a gdzieindziej: *i*, inni znowu zastępują je samem: *i*, a są i tacy, którzy pozwalają pisać, jak kto chce: patrjota, lub patryjota, biologia i bijologia, Syjam i Sijam. Taką uchwałę powzięła komisya językowa Zjazdu Rejowskiego w r. 1907, ale już na następnem zebraniu tej komisyi oświadczono się za pisownią jednolitą. Na posiedzeniach zaś Wydziału filolo-

[1]) Por. Hurtera S. J. „Theologiae dogmaticae compendium". Tom. I. wyd. 3-e Oeniponte 1880, przypisek do nru 130.

gicznego Akademii uchwalono w roku ubiegłym pisownię przez *i* w zgłoskach początkowych: Dionizy, Hieronim, biologia, z wyłączeniem tylko wyrazów takich, jak Tryjest, tryumf i t. p.; w środku wyrazów polecono pisać *j*: patjota, karjatyda i t. p.[1]). Lepiej już będzie pozostawić wszędzie *y*, chociaż w wielu wyrazach nie wymawia się tej samogłoski. Na to zgadza się i Brückner (str. 59—60).

Co do nazwisk autorów obcych, sądzimy (zgodnie z Brucknerem), że wogóle mówiąc, lepiej ich nie polszczyć; razi nas n. p. pisownia: Gete, Russo itd; ale nie oświadczamy się za usunięciem wszystkich form spolszczonych, a mianowicie ogólnie przyjętych, jak n. p. Tycyan, Szekspir. Zwyczaj ma swoje prawa; — wątpimy też, czy przyjmie się broniona przez Brücknera pisownia: *ź*ródło, kiedy wszyscy mówią dziś i piszą: *ź*ródło, — albo pisownia: *łucki*.

Całkiem za to słusznie odrzuca autor stanowczo pisownię :*gie*ografia, *gie*niusz, ewan*gie*lia, *j*eografia (str. 79). Wogóle powinno się uwzględniać pisownię oryginalną wyrazów obcego pochodzenia, jeżeli nie są już zupełnie splszczone, jak n. p. kielnia, kielich.

O tych wyrazach, zapożyczonych z języków obcych, znajdujemy w książce Brücknera dużo wiadomości ciekawych. Tu trzeba rozróżniać dwie warstwy cudzoziemszczyzny, których wartość jest bardzo różna. Jedna jest nietylko nieszkodliwa, ale wprost niezbędna, to są nazwy rozmaitych obcych wyrobów, towarów, roślin, których niema wcale potrzeby zastępować polskiemi, z wyjątkiem chyba niewielkiej ich liczby: „godzi się" n. p. jak mówi autor (str. 34) „używać ziemniaków zamiast kartofli". Inne słowa obce nie są potrzebne, a nawet są poniekąd szkodliwe, bo zajmują miejsce czysto polskich i piękniejszych, ale tu mogą być i są zdania bardzo różne o niejednym z tych wyrazów. Brückner idzie n. zd. za daleko w swojem chwalebnem zresztą dążeniu do oczyszczania mowy ojczystej z wtrętów cudzoziemskich, kiedy n. p. pisze (str. 36): „Po co nam przymiotników, jak kompletny, kapitalny, skrupulatny, uniwersalny, majestatyczny... W piętnastym wieku nazywaliśmy jeszcze poetę składaczem, potem niemiecki rymarz wszedł, a teraz walczą tu wyłącznie łacina z niemczyzną, artysta z malarstwem, kunsztem i sztuką, a polszczyzna całkiem na koszu osiadła" i t. d.

Że nie powinno się używać bez potrzeby wyrazów cudzoziemskich w stylu wyższym, w poezyi, w kazaniach, na to zgoda; — ale w książkach naukowych, w dysputach literackich i w mowie powszedniej mają takie wyrazy, jak poeta (czy autor chciałby na seryo przywrócić mu nazwę „składacz"?), artysta, majestatyczny, skrupulatny, swoją racyę bytu i nie dadzą sobie chyba odebrać prawa obywatelstwa! Sam też autor dodaje (str. 38), że „na usprawiedliwienie naszej obczyzny możemy przytoczyć niekłamane trudności w tworzeniu nowych wyrazów". Nie myśli on też naśladować Czechów, którzy utworzyli na wzór niemieckich złożeń takie dziwolągi, jak: knihtiskarna (Buckdruckerei), knihkupectwi (Buchhandlung); ale radby zbogacić język takimi nowotworami, jak: „czarnik" (= atrament) „czarnica" (kałamarz), „wsiąkacz" lub „wsiączka" (= bibuła) „poręcznik" (= fotel) „słonecznica" lub „słońcówka" (parasolka, str. 40—41).

Dalej dobrzeby było według autora wprowadzić na nowo do użytku niejedno słowo zupełnie już zapomniane, przestarzałe. I tak w miejsce „Ueberziebera" (wedle lwowskiej polszczyzny) stary nasuwień aż się naprasza; „termin" należałoby rokiem oddawać (str. 43—44). Wyraz „korespondować" radzi zastąpić (idąc tu za Włodzimierzem Platerem) polskiem „listować" (str. 48), — introligatora „oprawiaczem", — okulary „ocznikami" (50—51).

W niedługim ustępie, poświęconym odmianie nazwisk obcych i wyrazów łacińskich z końcówką — *um* (str. 114—117) czytamy dużo projektów dość dziwnych i nie spodziewanych: oto autor radzi pisać i mówić: „myśl wzięta z Rousseau" — „wiersz z Hugo", „u Percy" a nawet „u Goethe"; tylko „kogo sumienie gramatyczne nadto trapi, niech dodaje — go — mu: Goethego, Percygo"... „Rosyanin w każdy sposób mądrzej, bo Goethe wcale nie odmienia, Czech znowu odmienia to inaczej niż my, Geta, Getowi, Heina, Heinowi, Borna itd. Nie należy naruszać imienia obcego, jeżeli polskiego nawet nie naruszamy i odmieniamy: Gołąb, Gołąba, Kocieł, Kocieła i td., nie Gołębia ani Kotła,... podobnież nie odmieniajmy Hegel, Hegla, ani Luter, Lutra, lecz zatrzymajmy Hegela, Lutera, boć to — e — nie nasze ruchome! Co obce jest, niech obcem zostaje; zbytnie polszczenie, niby poufałe po ramieniu klepanie, nie zawsześ na miejscu". Wyrazy zaś łacińskie (względnie greckie) z końcówką — *um* radzi odmieniać podobnie jak Czesi: w II. przyp. musea, gremia, gimnasya; w III. przyp. gimnasyu, gremiu (albo gremiowi) i td.

Sądzimy, że nikt — albo bardzo chyba niewielu pisarzy naszych zgodzi się na te projekty i że niema wcale potrzeby takich zmian wprowadzać. Tylko w niektórych punktach przyznajemy autorowi słuszność, a mianowicie w tym, że lepiej nie odmieniać takich nazwisk, jak Hugo i mówić: wiersz Wiktora Hugo, albo do Reims, München i że odrzucić trzeba formę (na którą ktoś także się już zdobył): „w Auguście Comt'cie"! Według naszego przekonania sprzeciwiałoby się to duchowi naszego języka, gdybyśmy mówili np.: „czytałem Goethe", albo: „znalazłem to u Comte, u Hume". Do takiej innowacyi trudnoby się przyzwyczaić, a za nią nic nie przemawia oprócz pewnych niedogodności, jakie sprawiają niektóre nazwiska obce, kiedy ich nie można przytoczyć w przypadku pierwszym. (C. d. n.).

KRONIKA KOŚCIELNA.

Pośrednictwo Ojca św. Nota papieska (którą podamy w następnym numerze według tekstu poprawnego) wywarła wrażenie ogromne w całej Europie i w Ameryce. Nawet dzienniki wrogie Kościołowi przyznają, że Ojciec św. dokonał przez rozesłanie tej noty czynu wielkiej doniosłości, a odpowiadającego zupełnie wzniosłemu Jego powołaniu. Nie można przewidzieć, o ile nota przyspieszy pokój tak powszechnie upragniony i co na nią odpowiedzą rządy koalicyi, ale pewną jest rzeczą, że podniesie w oczach całego świata chrześcijańskiego powagę Stolicy Apostolskiej i będzie poczytana jej za wiekopomną zasługę. Całkiem niesłusznie zarzuca prasa koalicyi, że Papież powinien był wystąpić przeciw mocarstwom centralnym i po-

[1]) Passendorfer l. c. str. 10.

wtarza znane swoje kłamliwe twierdzenia, że Rosya, Francya i Anglia nie wywołały tej wojny.

Z Kołomyi dowiadujemy się, że miasto jest w znacznej części zniszczone, a zwłaszcza mieszkania opuszczone przez uchodźców, tj. przez połowę ludności (około 20.000 osób), uległy rabunkowi. Po rewolucyi ustała wszelka karność w wojsku rosyjskiem, oficerowie byli bezradni wobec rozpasanego żołdactwa. Miasto przeżyło straszne dni w czasie odwrotu najeźdzców. Kościoły jednak są Bogu dzięki prawie nie naruszone. Proboszcz X. Prałat Pawłowski i XX. Wikarzy Jurasz i Zmora, jako też OO. Jezuici pozostawali przez cały czas inwazyi na swoich stanowiskach, spełniając jak najgorliwiej ciężkie swoje obowiązki i pozyskując wdzięczność ogółu wiernych.

XX. Salezyanie w Oświęcimiu. Z końcem wieku 19-go powstała w Galicyi pierwsza osada salezyańska, w Oświęcimiu, gdzie synowie X. Bosko rozpoczęli zbożną pracę nad polską młodzieżą

XX. Salezyanie objęli w posiadanie wykupione ruiny kościoła podominikańskiego św. Krzyża i już w r. 1898 zaczęli się krzątać około budowy domu własnego i nowego kościoła.

Dziś nad Oświęcimem dominuje kościół nowy, jeszcze nie wykończony, w którym przed obrazem N. Panny Wspomożycielki wiernych klęczą dzień cały gromadki pobożnych. Tuż przy kościele ogromny, dwupiętrowy dom, widny z daleka, mieści cały zakład wychowawczy. Jakie życie wre tam w czasie roku szkolnego, jako praca, przeplatana modlitwą, jaka wesołość wśród wychowanków, może sobie wyobrazić ten, kto choćby raz widział zakład X. Bosko.

Trzydziestu kapłanów poświęca się wykształceniu młodych ludzi na dzielnych rzemieślników i współpracowników salezyańskich.

Około 400 chłopców stoi bądź przy warsztatach, bądź w klasie pobiera naukę codzienną.

Zakład w Oświęcimiu obejmuje dwa odrębne działy:

a) szkoły rzemieślnicze (szewską, krawiecką, stolarską i ślusarską) z prawem publiczności na mocy rozporządzenia ministeryalnego z dnia 27. lipca 1907 r.

b) gimnazyum niższe i klasę przygotowawczą do gimnazyum.

Za każdego ucznia Zakład pobiera małą opłatę, ale w miarę możności nie odmawia ustępstw i dobrodziejstw sierotom i uboższej młodzieży, odznaczającej się pilnością i wzorowem zachowaniem. Bez funduszów stałych, dzięki tylko Opatrzności Boskiej, w niewielu latach swego istnienia dał Zakład oświęcimski wychowanie tysiącom młodzieży, zyskując sobie życzliwość społeczeństwa i uznanie władz.

W podziemiach zakładu elektrownia porusza różne maszyny najnowszego systemu, ułatwiając przez to pracę w ślusarni i stolarni. W warsztatach zaś szewskich i krawieckich gromadki uczniów skupiają się około swoich nauczycieli i przepędzają dzień w milczeniu.

Jako kierownicy chłopców w warsztatach przyświecają przykładem pracowitości i pobożności bracia Zgromadzenia, ubrani po świecku.

Miłą rozrywkę dla młodzieży Zakładu stanowią śpiew, muzyka i teatr.

W czasie święceń kapłańskich dnia 10. czerwca chór śpiewacki zakładowy wykonał bardzo pięknie 4-głosową mszą Gollera przy wtórze organów i kapeli. Z pomiędzy sztuk teatralnych, których odegrano kilka w tym roku, najświetniej wypadło „Betleem Polskie" Rydla.

Zgromadzenie współpracowników X. Bosko wzrasta nieustannie. Wykształciło ono już liczny zastęp wychowawców, zajmujących się dziećmi klasy ubogiej i średniej. W Galicyi posiada już 4 domy: w Oświęcimiu, w Krakowie, Przemyślu i Daszawie. — Zasługuje ono niewątpliwie na usilne poparcie wszystkich ludzi dobrej woli.

X. W. P.

Niemiec o katedrze gnieźnieńskiej. Od pewnego czasu uczeni niemieccy piszą więcej niż dawniej o ziemiach, które należały dawniej do Królestwa Polskiego. Tygodnik, wychodzący w Lipsku („Illustrierte Zeitung") podaje w nrze wojennym 153 artykuł profesora dr. Pawła Schubringa pod tyt. „Katedra w Gnieźnie", w którym czytamy między innemi:

„Szczątki Męczennika spoczywają dziś pod olbrzymiem tabernakulum, które wznosi się w pośrodku głównej nawy kościoła. Tabernakulum to zostało zbudowane na wzór bronzowego w kościele św. Piotra w Rzymie, które wykonał Bernini. Srebrny sarkofag, w którym spoczywa św. Wojciech, jest dziełem Piotra Rennena z Gdańska, a kosztował 30.000 polskich guldenów. Pieniądze te przeznaczył na ten cel biskup Silchowicz w r. 1662. Cztery srebrne statuy, przedstawiające klęczących rycerzy i zakonników, podtrzymują piedestał. Na nim wznosi się 6 orłów, które bogato ozdobiony sarkofag podtrzymują na swoich skrzydłach. Na trumnie leży święty Wojciech z pastorałem i książką, gotując się do powszechnego zmartwychwstania. Byłem przypadkowo w dniu imienin Patrona w katedrze gnieźnieńskiej. Kościół był przepełniony ludem ubogim. W wysokości zabrzmiał śpiew a capella, który lud w świątyni ciągnął dalej.

Obecna katedra zbudowana jest w drugiej połowie XIV. wieku, jako trzynawowa bazylika z wieńcem kaplic. Od strony zachodniej sterczą dwie kwadratowe wieże. Wiek XVII i XVIII dokonał różnych przebudówek, ale kaplice są tylko co do dekoracyi odnowione. Najnowszą jest kaplica Potockich z kopułą, zbudowaną w kształcie elipsy, dzieło włoskiego architekty Pompeo Ferrari. W kaplicach znajdują się liczne cenne nagrobki marmurowe, kamienne i bronzowe, począwszy od XV w. aż do wieku XVIII".

Dalej autor opisuje pomniki, zachwycając się ich wykonaniem i chwaląc fundatorów za ich ofiarność na cele artystyczne.

Z naczyń kościelnych najcenniejszy jest kielich ozdobny, dzieło Samuela Jacomiusa z Rzymu, wykonane w roku 1690. Relikwiarz z głową świętego Wojciecha (z r. 1494) jest dziełem Poznańczyka Jakóba Barta. Cenne są mszały. Dwie Ewangelie zawierają miniatury szkoły czeskiej i zachodnio-niemieckiej z XII. wieku.

„Rozprawę napisałem" kończy autor, aby Polacy wiedzieli, że my Niemcy bierzemy serdeczny udział w ich świętościach narodowych, że my cenimy ich starą, bogatą kulturę i jesteśmy im wdzięczni, że oni na niemieckim wschodzie, który ubogi jest w dzieła sztuki, ze swoją bogato rozwiniętą i wiernie strzeżoną starą sztuką wybijają się na pierwsze miejsce.

Niemieckich przyjaciół sztuki wzywam, aby odbyli pielgrzymkę do katedry gnieźnieńskiej! Tu cenne skarby w wielkiej ilości nagromadzone... Stare drzwi katedralne okazują pokrewieństwo z dzwiami w Hildesheim, Augsburgu i w Niżnym Nowogrodzie; one powstały w tych samych czasach, co i południowo-włoskie bronzowe drzwi w Ravello, Monreale, Trani i Kanossie. Owe zna każdy, te zaś, które są w Gnieźnie, są całkiem nieznane. Kiedy w niedzielę w chórze katedry gnieźnieńskiej zabrzmi stara pieśń „Boga rodzica", a pod ciężkiem tabernakulum srebrna postać świętego Wojciech zda się powstawać, by błogosławić, przeżywa się klasyczną godzinę z walki niemczyzny przeciw wschodowi, którą to walkę zakończyć powołaną jest teraźniejszość".

X. W. P.

Na marginesie „Alrauny“ polskiej [1]).

Szczególna to książka. Dni ledwie kilkanaście liczy sobie żywota księgarskiego, a już archiwum małe dałoby się złożyć z głosów, publikowanych o niej w prasie codziennej. Ponieważ zaś nieobojętne są one dla zrozumienia atmosfery, wśród której poczęta została, zatem po kolei przedstawimy je tu pokrótce, żywiąc nadzieję, iż najlepiej pouczy to o krętych drogach, jakiemi via Niemcy zawitała do nas.

Jak przystało na dobrze zorganizowany interes, dbający w czas o reklamę, poprzedził pojawienie się książki szczególny interwiew współpracownika „Gazety Wieczornej“ z właścicielem „Lektora“, p. drem St. Lewickim. W barwnych kolorach przedstawiono łaknącym wiedzy „djabolicznej“, co za delicje i różności znajdą w genialnym tworze Ewersa, który dla utorowania sobie drogi apostolskiej wśród publiczności polskiej aż tego rodzaju reklamy suto opłaconej potrzebował. Trybuna w sam raz odpowiadała dziełu genialnemu! Wierna swoim „zasadom“ „Gazeta“ z całą gotowością podjęła się i tym razem zapośredniczenia — już to samo domyślać się kazało wartości zachwalanego towaru. W tydzień po owem przedstawieniu dowiedziało się drżące z niecierpliwości społeczeństwo, iż arcygenialna książka już szczęśliwie ulokować się zdołała na półkach księgarskich i jest do nabycia po bardzo niskiej cenie jedenastu koron za egzemplarz. W ślad za tem poszedł przydługi fejleton pióra H. Zbierzchowskiego, którego nazwisko dziwnym trafem znajdujemy między autorami powieści, opłaconych dobrze przez nakładcę i zapowiedzianych do wydania w najbliższej przyszłości. Uderza jednak w fejletonie dość znaczna powściągliwość w zachwytach nad genialnością autora „Alrauny“, a zarazem jakby coś w rodzaju przymusowego obrobienia pensum zadanego. W każdym razie skonstruowane to wszystko, jakby z celem nie domknięcia fórtki za sobą i pozostawienia sobie ręki wolnej na każdy wypadek.

Prawie równocześnie z tem ozdobiono dnia jednego nakład cały „Gazety“ prospektem, który wprost słów nie znajduje dla ogromu genialności utworu Ewersa, a mało zresztą różni się od świstków, wtykanych w ręce przechodniów pod kinoteatrami. Reklamie tej dzielnie zasekundowały szyby wystawowe „Lektora“ oblepione prospektami i rysunkami. Jednem słowem, interes popchnięty został według wszelkich zasad reklamy kinoteatrowej mocno naprzód.

Zdawało się, że wszystko pójdzie jak po maśle. Publika, osaczona naraz ze stron wszystkich, jak zwierzyna bezmyślna poddała się nagonce i to tem chętniej, iż cuda już wprost opowiadać zaczęto o perwersyjnej bezecności książki. O to ostatnie zabiegało przedewszystkiem wydawnictwo samo, oryentując się wspaniale w zamiłowaniach rozpróżniaczonych i zdeprawowanych dam strojnych i niedorostków zdziczałych, na kinoteatrach i literaturze kryminalnej wychowanych. Rozumowano całkiem słusznie, iż najgorsza sława największe powodzenie zapewni książce. Wprost występować z zapewnieniem podobnem jakoś nie sposób było wydawnictwu, a jednak to właśnie było wodą na młyn jego. Dowcipnie zatem zredagowano prospekt w ten sposób, iż nie zapewniając o bezecności książki, całkiem niedwuznacznie zaznaczono jej charakter, ubierając to w odpowiednio, górnolotnie dobrane określenia. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwania, — pospieszyły do księgarni podlotki i niedorostki, a i osobniki nie własnowolne i oto rozpoczęło się powodzenie książki genialnej! Dla tem skuteczniejszego zaś napędzenia publiki, nie zdającej sobie sprawy z tego, jak ją w błąd wprowadzają, ukazał się (oczywiście w „Gazecie“) wierszyk stosowny, też pióra H. Zbierzchowskiego, rozpowiadający głośno, jaką to senzacyą dnia jest „Alraune“ wśród podlotków i nierobów wszelkiego rodzaju. Już omal pod księgarniami poczętoby stawać w ogonku dla nabycia szczególnego tego towaru najnowszego!

Jak zgrzyt niesamowity odezwał się na to wszystko głos mocny z „Kurjera Lwowskiego“ objaśniający pokrótce, ale dosadnie, charakter właściwy „genialnego“ utworu niemieckiego, tudzież piętnujący pretensye wydawnictwa „Lektora“, aspirującego do odegrania zaszczytnej roli w życiu umysłowem Polski, a rozpoczynającego tę działalność właśnie czemś podobnie bezecnem i głupiem. Był to pierwszy grom na nie zachmurzonym dotychczas nieboskłonie. Wspaniale jednak przygotowane okazało się wydawnictwo na pociski podobne, bo oto bezpośrednio po notatce w „Kurjerze“ okazuje się w krakowskim „Głosie Narodu“ korespondencya ze Lwowa, której autor, po entuzyazmach dla biblioteki „Lektora“, nie znajduje słów uznania dla wydanej przez nią powieści Ewersa. Zdumienie ogarnęło wszystkich na coś podobnego, czemu też wyraz dała notatka w „Kurjerze Lwowskim“, domyślająca się w korespondencyi tej chyba „mistyfikacyi“ najgrubszej. Ubrany w ten sposób „Głos Narodu“ znalazł się, jako dziennik szanujący się, w sytuacyi zgoła niemiłej. Zanim zaś zdołał wytłumaczyć się, już pospieszył „Czas“ krakowski z „Ostrzeżeniem“ przed „typowym utworem chorobliwej erotomanji, łączącym w sobie elementy skandalu i spekulacyi na najniższe instynkty czytelników“, wyrażając równocześnie zdumienie słuszne z powodu zalecania książki podobnej, zwłaszcza przez pismo katolickie. Na to zamieścił „Głos Narodu“ wyjaśnienie, iż nieostrożnie skorzystał z informacyi korespondenta przygodnego, nad czem bardzo ubolewa. Równocześnie zaś zawiadamia, iż do następnych numerów przygotowuje obszerną ocenę skandalicznej książki.

Arcyciekawe te kilkunastodniowe dzieje książki kreślimy tu umyślnie dla zaznaczenia dobitnego, jakich zabiegów krętych potrzebuje dzieło, pretendujące niemal do genialności! I nie dość na tem, bo o dużo „grubszych“ na ten temat rzeczach opowiada się w kołach wtajemniczonych. Już to samo wystarczy dla zoryentowania się w wartości utworu Ewersa.

Jeden jednak moment uderza we wszystkich tych ocenach „Alrauny“, a mianowicie piętnowanie jej przedewszystkiem jako utworu skandaliczno-pornograficznego. Na nas czyni to wrażenie, jakgdyby krytycy, brzydząc się lekturą bezecną, nie zadali sobie trudu sumiennego przeczytania książki i przestudyowania przedmowy St. Przybyszewskiego. W przeciwnym bowiem razie podniesionoby zapewne przedewszystkiem jej bezdenną wprost głupotę, szalbiercze operowanie niekonsekwencyami, tudzież gromadzenie najgrubszych senzacyjności mocno kinowego pokroju. Pornografią jest ona niezawodnie, ale wyraz ten nie oznacza jeszcze należycie jej wartości.

Pojąć trudno, że St. Przybyszewski nie zawahał się nazwiska swego położyć przed podobnie głupią i treści pozbawioną książką jakiegoś marnego grafomana! Jak ujść mogło uwadze jego bijące aż z książki całej polowanie za senzacyą, zdradzającą się przy tem co krok najsztuczniejszem dopasowywaniem do fabuły, która całkiem obejśćby się mogła bez tego, o ile, oczywiście, autor zrezygnowaćby zechciał z ordynarnego grania na nie wybrednych zmysłach ludzi z grubsza ociosanych. Inna rzecz, że do podobnego ujęcia właściwej treści nie dorósł całkowicie umysł wcale płytki autora niemieckiego!

Założeniem Ewersa było skreślenie żywota istoty, któraby połowicznie tylko na miano ludzkiej zasługiwała, o ileby istotnie miała być czemś w rodzaju średniowiecznej mandragory-alrauny. Że taką ją chciał mieć autor, wynika z dzieła całego, które w przeciwnym razie snadnie obeszłoby się bez podobnej progenitury bohaterki, dając się równie dobrze pomyśleć w zwykłych warunkach żywota ludzkiego. Żeby skreślić przewrotny charakter niewieści, nie trzeba było sięgać aż do senzacyjności średniowiecznej, która zresztą całkiem niezdarnie nagięta została do celów autora. Mandragory średniowieczą, to mityczne istoty, biorące początek z nasienia wisielca i matki ziemi, a zatem na wpół tylko pochodzenia ludzkiego. Wisielec jednak, resztki życiowe jego, wreszcie mgła tajemnic średniowiecza — oto wdzięczne momenty dla potarganych już wszelkiemi możliwemi senzacyami umysłów zwyrodniałych, a zatem świetny łup dla autorów pokroju p. Ewersa. Nie bacząc na defekty kombinacyi podobnej, a wyczuwając świetnie, czem zwabić można czytelników niewybrednych, postanawia on śmiało nagromadzić jak najwięcej drastyczności. Rzecz jednak nie klei się, bo nie sposób półludzkiej mandragoryalrauny użyć jako bohaterki, zwłaszcza, jeśli się weźmie pod uwagę nikczemność figurki takiej. Gdyby się to dało, wówczas potworowi podobnemu przypisaćby można nie tylko takie bezecności, jakich

---

[1]) Hanns Heinz Ewers. Alraune. Dzieje istoty żyjącej. Powieść. Przekład Jadwigi Przybyszewskiej, zaopatrzony wstępem Stanisława Przybyszewskiego, oraz portretem autora. Pierwszy tysiąc. Wydał Literacki Instytut Wydawniczy „Lektora“ 1917. 8° str. LIII+364.

dopuszcza się bohaterka Ewersa, ale nawet dużo, dużo potworniejsze. Zależałoby to jedynie od perwersyjności autora.

Żal było autorowi rozstać się z pierwszorzędnym wabikiem senzacyjnym, bo nie obiecywał sobie powodzenia bez niego. Nie bacząc więc na niekonsekwencyę, łata po partacku kombinacyę swoją i każe bohaterce swej rodzić się nie z nasienia wisielca i ziemi (w co nie wypada wierzyć człowiekowi dwudziestego wieku!), lecz z wisielca i ostatniej ulicznicy, a zatem czyni ją córką dwojga ludzi. Inna rzecz, jakim był ten ojciec i jaką matka, ale ludźmi byli oboje — po cóż więc przyplątywac było do tego średniowieczne podanie o mandragorze? Alrauna Ewersa nie ma nic wspólnego z alrauną-mandragorą mityczną.

Jasno z tego wynika, że jeśli zamiarem było autora skreślenie nikczemnego charakteru niewieściego, to dość było wyprowadzić go ze środowiska właśnie takiego, z jakiego wyszła bohaterka jego, t. zn. ze szumowin ostatnich, a nie obełgiwać czytelnika zawikłaną historyą z lamusa średniowiecznego. Bardzo możliwe jest jednak, że potrzebna ona była autorowi do drugiej z rzędu senzacyjności grubej, a mianowicie do skreślenia sposobu, w jaki nasienie wisielca dostało się do łona ulicznicy. Czyżby i tego plugastwa miał się on wyrzec w swem dziele genialnem? Chyba nie, jeśli chodziło o „poczytność“ jego!

Gdyby autor chciał pójść drogą mniej „efektowną“, wypadłaby powieść mniej więcej prostolinijnie — poznalibyśmy zwyrodniałą kobietę, która życie swe niedługie zaznaczyć potrafiła szeregiem złamanych istnień, aż sama wreszcie głowę za to nałożyła. Takim jest też zrąb powieści Ewersa, jeśli wyeliminujemy z niej dołatane dla senzacyjności momenty w rodzaju poczęcia bohaterki, szukania matki dla niej, oddania niby ojcu, ostatniemu łotrowi, piastującemu godność profesora (tylko w ojczyźnie Ewersa możliwe!) tudzież epizody złodziejskie, pojedynkowe, taneczne, perwersyjne, lunatyczne i t. d., za którymi szukał autor chyba w całej literaturze brukowej Niemiec, kompletując je wszystkie w swem dziele „genialnem“.

Naznaczyły sobie w „Alraunie“ rednez-vous wszelkie możliwe pod słońcem zboczenia umysłowe i wymysły, nad którymi nawet fantazya Ewersa mocno nabiedzić się musiała, by je tak obficie nie tyle zaprezentować, ile połatać w całość jakąś. Wszystko to rozbiega się na wsze strony, kłóci się z sobą, nie mówiąc już o jakiej takiej możliwości realnej, lub o sensie wogóle. Skąd autor skompletować zdołał takie bajeczne towarzystwo z profesorów-łotrów, studentów-opryszków, księży-nicponiów, doktorów-oszustów, oficerów-głuptaków, arystokratek-prostaczek, panien, durzących się w pannach, mężczyzn, rozmiłowanych w chłopakach etc. etc.? W jakiem środowisku podpatrzyć mógł wybrańców owych? Czy to też może potomkowie alrauniczych wisielców i ulicznic?

Czego to nie czyni się dla „poczytności“ dzieła „genialnego“! Jak łatwo dobić się „sławy“ autorskiej i siedmdziesięciu wydań! Wystarczy tylko ze stu powieści brukowych wycisnąć kwintesencyę ich istotnej zawartości, pozszywać to wszystko w jakąś całość, dać początek z grubsza ordynarny, a koniec możliwie najtragiczniej senzacyjny (Alraune jako lunatyczka upada z dachu w nocy) i powieść genialna gotowa! Uszczęśliwić nią tylko obce literatury!

Literackiemu Instytutowi Wydawniczemu „Lektora“ zdawało się, iż w zamian za ofiarowane literaturze niemieckiej arcydzieła Reymonta, Żuławskiego, Tetmajera i innych, przyswoić sobie powinniśmy w pierwszym rzędzie rozmaitych Ewersów, bez których przedstawić sobie jakoby nie można pełni życia kulturalnego. Ponieważ debiut to Instytutu, a droga nakładnicza dość ryzykowna, zatem najlepiej zacząć od bezeceństwa, bo to fundament położy najpewniej pod dalszy rozwój, mając zbyt z góry zagwarantowany. Poszła też na ogień pierwszy Alraune, a jak wiadomo od Ewersa, przynosiła ona w średniowieczu złoto, ale i... nieszczęście! I w tym wypadku wątpić nie można o prognostyku — złoto przynosi ona już nakładcy, a nieszczęście... społeczeństwu. Warto bowiem rozpytać się w księgarniach i czytelniach, kto najłapczywiej sięga po tę truciznę — niedorostki, zwłaszcza rodzaju niewieściego, tudzież uczniowie szkół średnich! Kto nie wierzy, niechaj informacyi zasięgnie w samym tylko Lwowie. Tu nad wyraz smutne nasuwają się refleksye. Czy tylko nakładcę winić można — czy nie jest winno i społeczeństwo, na które nakładca z matematyczną pewnością liczy w pomyślnem i szybkiem rozprzedaniu kilku tysięcy, po których przygotowuje dalsze inne? Więc takiej strawy wymaga publiczność czytająca, na takie rzeczy znajdzie grosz ciężki wtedy, kiedy tysiące mrą z głodu? I to właśnie najsmutniejsze jest z tej całej afery alraunicznej.

Na ataki przygotowany był nakładca z góry i w przewidywaniu właśnie tego opancerzył się, jak mógł najlepiej. Tłumaczenie powierzył p. Przybyszewskiej, o wstęp zwrócił się do St. Przybyszewskiego, a następnie powieści zakupił — i jak powiadają, dobrze zapłacił — od autorów lwowskich, mających pewne wpływy. Nazwiska te tarczą być mają dla piśmidła, w którego obronie staną zapewne osobistości powyższe. Co do nas, wyraziliśmy już szczere zadziwienie, iż St. Przybyszewski nie zawahał się nazwiska swego położyć przed grafomaństwem podobnem. O wstępie zaś pióra jego to jedno powiedzieć możemy, iż niema on absolutnie nic wspólnego z książką Ewersa, którą cechuje przy wszystkiem tępa głupota i ubóstwo myśli (nie opisów). O uwagach zaś St. Przybyszewskiego, chociażbyśmy i nie pisali się na jego poglądy, nie powiedzielibyśmy tego. Omawiać ich specyalnie nie uważamy za potrzebne, ponieważ nie stoją one w żadnym stosunku do powieści Ewersa i nie wiadomo, dlaczego dołączone są do niej.

Co do przekładu, jest on dokonany poprawnie i wskazuje stylowo wspólność pewną ze wstępem. P. Przybyszewska opuściła w przekładzie swym co ordynarniejsze wyrazy, ale dość ich jeszcze pozostało, by żałować, iż wogóle nie zaniechała tej dość zbytecznej pracy. Wszakże w literaturze niemieckiej nie tylko podobnie tępe bezeceństwa istnieją — zatem lepiej było zająć się czemś cenniejszem, coby nie sączyło trucizny, a ożywiającą było krynicą prawdziwie estetycznej rozkoszy. Czy nie dość już tego spustoszenia moralnego, gdzie tylko okiem sięgnąć?

W. K.

Z prasy peryodycznej.

„Lud katolicki“ zamieścił w nrze 33 z r. b. artykuł bardzo godny uwagi, który tu przytaczamy w całości:

Z „galicyjskiej“ polityki.

Do niedawna w galicyjskiem Kole polskiem panowała niby święta zgoda. Konserwatyści, demokraci polscy, ludowcy z pod znaku Piasta i socyaliści szli ręka w rękę razem, prowadząc i politykę Koła i politykę Naczelnego Komitetu Narodowego. — Naczelne miejsca i w Kole i w Komitecie i u rządu objęli z wolą i życzeniem innych stronnictw konserwatyści. „Czas“, „Nowa Reforma“, „Piast“ i „Naprzód“ — organy tych czterech stronnictw, pisały hymny pochwalne o solidarności Koła polskiego i biada temu, kto się poważył mieć inne od nich zdanie, i nie zgadzać się na ich politykę. Okrzyczany był taki za zdrajcę i moskalofila.

Ale co się nie dzieje. Panowie Biliński, Jaworski, Bobrzyński, Witos, Długosz, Leo, Daszyński, robią politykę, ale naród cały widzi z przerażeniem, że panowie ci w wielkiej części polują tylko za orderami, tytułami i posadami ministrów, że im się nie rozchodzi tyle o dobro Ojczyzny i narodu, ile raczej o dobro swoje osobiste, lub najwyżej swojej partyi. Ze wstrętem więc i z oburzeniem zaczyna się od nich naród odwracać. Z początku sobie nic politycy nasi z tego nie robią i lekceważą sobie odruchy i protesty społeczeństwa. — Na wszelkie objawy niezadowolenia mają tylko jedną odpowiedź, że oni jako posłowie są czemś tak wielkiem i nieomylnem, że z opinią i głosem społeczeństwa liczyć się nie potrzebują, tembardziej, że mają za sobą poparcie rządu. Ale niezadowolenie i wzburzenie z polityki naszych panów rośnie coraz bardziej w społeczeństwie i mimo wszystko lekceważyć tego oburzenia społeczeństwa dalej już nie można.

Sprytniejsi widzą, że tak dalej być nie może, że trzeba zawrócić. I zawracają. Pierwsi robią to ludowcy, za nimi idą socyaliści. Jedni i drudzy zaczynają się teraz przymilać do narodowych demokratów, którym do niedawna bali się rękę podawać, a teraz im nawet sobie przewodzić pozwalają. W Kole polskiem następuje rozłam. Z jednej strony ludowcy, socyaliści i narodowi demokraci, z drugiej konserwatyści i demokraci. Rozłam ten uwydatnił się zwłaszcza na posiedzeniach Koła Polskiego w Krakowie dnia 5. i 6. sierpnia.

W ostatnich dwu numerach z dnia 5. i 12. sierpnia w bardzo ostrych słowach zaatakował „Piast“ konserwatystów i demokratów. Zwłaszcza konserwatystom dostało się od „Piasta“ wiele. Nazwał ich „Piast“ „upiorami“, zaśniedziałymi, strupieszałymi mamutami konserwatywnymi i t. d.

Nie mamy zamiaru, ani chęci bronić konserwatystów i demokratów. Wiemy, że jedni i drudzy mają dużo, bardzo dużo grzechów na swojem sumieniu. Ale zaznaczyć musimy to dobitnie, że w tem złem, co zrobili i robią dla kraju i narodu konserwatyści i demokraci, ponoszą winę także ludowcy i socyaliści. Ludowcy zwłaszcza przez cały szereg lat ostatnich ręka w rękę szli z konserwatystami i popierali ich we wszystkiem i nawzajem od konserwatystów doznawali wszelakiego poparcia. Nie zapominajcie, panowie ludowcy, że wasz niedawny wódz Stapiński brał pieniądze od konserwatysty Jaworskiego na wasze wybory, nie zapominajcie, że Biliński niedawno temu otrzymał od Koła, na wniosek waszego Bojki, wotum zaufania, nie zapominajcie, żeście razem z Jaworskim, Lea i innymi siedzieli w Naczelnym Komitecie i robili politykę tego Komitetu, nie zapominajcie, jak was popierał Bobrzyński i Korytowski, i jakiego oni znowu od was poparcia doznawali. Dziś zwalczacie politykę N. K. N., mówicie przez usta swego Bojki, że jedynym rezultatem tej polityki było to, że p. Jaworski, wiceprezes N. K. N., otrzymał tytuł ekscelencyi, a czemu milczycie, że i wasz Witos był także wiceprezesem N. K. N.? Wart pałac Paca, a Pac pałaca.

Smutnie się przedstawia obecnie polityka naszych posłów w Galicyi. Obłuda, nieszczerość, rozdwojenie, wzajemne oskarżania się o zdradę przed rządem i społeczeństwem, polowanie za godnościami, brak energii, stanowczości i konsekwencyi w działaniu, brak zrozumienia potrzeb narodu i zniszczonego kraju, przerzucanie się ze służalczości wobec rządu w udaną opozycyę, oto cechy polityki obecnego Koła polskiego.

Dodajmy do tego, że wielu posłów naszych interes partyi stawia ponad wszystko. Niczem naród, niczem Ojczyzna dla tych panów, gdy chwilowe względy partyjne każą im inaczej głosować lub inaczej przemawiać czy czynić.

Posłowie nasi nie dorośli do swego zadania w tej dziejowej chwili. Oczywiście nie mówimy tego o wszystkich posłach naszych, bo jest wśród nich wielu, którym naród musi być wdzięczny za ich pracę i starania, ale mówimy to o większości, o dotychczasowych zwłaszcza menerach politycznych Koła.

Obecne partye i stronnictwa nasze są albo przeżyte, albo zgangrenowane. Ufajmy jednak, że mimo to Ojczyzna nasza z grobu powstanie, że prywata, ambicye, kłótnie i swary naszych „galicyjskich“ polityków nie będą przeszkodą do jej zmartwychwstania i odrodzenia, — tymczasem zaś myślmy i pracujmy nad utworzeniem stronnictwa, któreby uzdrowiło nasze fatalne wprost stosunki społeczne i polityczne.

Bibliografia.

Kwasieborski Stanisław dr. fil. **Częstochowa za konfederacyi barskiej** Warszawa. 1917. Nakładem księgarni W. Jakowickiego. 8-ka; str 285+II., z 9 ilustracyami, portretam i 3 mapkami Cena 6 kor. 15 hal.

W pracy, której tytuł wyżej wymieniono, postawił sobie autor trzy zadania: 1. wyjaśnić należycie rolę, jaką forteca jasnogórska odegrała w konfederacyi barskiej; 2. dać możliwie pełny obraz walk o posiadanie tejże fortecy między wojskiem konfederackiem, a Rosyanami stoczonych i 3. nie dowierzając żadnemu z dotychczasowych opisów oblężeń Częstochowy, czy też spraw z niemi związanych, każdy ich szczegół na nowo zbadać i sprawdzić, o ile dostępne mu źródła na to pozwalały. Zgodnie z takiem zadaniem starał się autor przy traktowaniu głównego przedmiotu tej pracy oprzeć każdy szczegół na źródłach współczesnych, przyczem nie zaniechał wyzyskać źródła rękopiśmienne ze zbiorów Akademi Umiejętności i Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie i lwowskiej Biblioteki Ossolińskich. Nie uwzględnił, co prawda, tak ważnych źródeł rękopiśmiennych, jak: kronika klasztoru jasnogórskiego i raporty jenerałów rosyjskich, składane Weymarnowi i jego następcy, a przez nich Petersburgowi, t. j. źródeł, o których wiadomo, że pierwsze znajdują się w archiwum klasztoru częstochowskiego, drugie zaś w archiwum ministerstwa wojny w Moskwie. Rękopisy te umożliwiłyby sprawdzenie i uzupełnienie wiadomości, podanych przez niektórych dziejopisów klasztoru częstochowskiego (Baliński, Pietrow, Konopczyński), ale — niestety — z archiwum moskiewskiego nie mógł autor korzystać z powodu znacznej odległości, ze zbiorów częstochowskich zaś dlatego, ponieważ nie udało się mu uzyskać wstępu do archiwum klasztornego i księgozbioru, bo od czterech już lat ciągle jeszcze „porządkują“ w bibliotece jasnogórskiej.

W barwnem opowiadaniu kreśli autor obraz fortecy jasnogórskiej, pierwsze zetknięcie się klasztoru ze stronami walczącemi, projekty naczelników konfederackich co do Częstochowy i opowiada między innemi o przybyciu marszałka łomżyńskiego pod Jasną Górę i jego wyprawach z fortecy, o pierwszem starciu Pułaskiego z Drewitzem pod Jasną Górą, o zamiarach Rosyan względem Częstochowy i akcyi króla, zmierzającej do powstrzymania Rosyan od oblężenia warowni jasnogórskiej, a dalej jesteśmy świadkami dwutygodniowego oblężenia twierdzy przez Rosyan od 1. do 15. stycznia 1771 r. i dowiadujemy się o przyczynach ustąpienia ich z pod murów fortecy, przyczem autor podkreślił znaczenie tej obrony dla konfederacyi barskiej i uwydatnił należycie wrażenie, jakie wywarła wieść o niej na współczesnych.

W rozdziale IV. widzimy znowu Drewitza pod fortecą, kiedy to ma miejsce ostatnia wyprawa Pułaskiego z Częstochowy, podczas gdy sprawy konfederacyi przybierają co raz gorszy odrót tak, że Pułaski musi zamknąć się w fortecy, a za nim resztki wojska konfederackiego ściągają się pod Częstochowę. Rozdział ostatni traktuje o poprzedzającem kapitulacyę fortecy podsunięciu się wojsk rosyjskich pod warownię i ścisłej jej blokadzie, oraz o upadku twierdzy jasnogórskiej, skutkiem czego zniknęła ostatnia placówka konfederacka na ziemiach Rzeczypospolitej. Nic też dziwnego, że jenerał major Golicyn aż w specyalnym raporcie uwiadomił swoją władczynię o poddaniu się Częstochowy. Nic też dziwnego, że „najjaśniejsza imperatorowa“ aż w dwu listach komunikuje liberalnemu pochlebcy samowładczych tronów Voltaire'owi o tym tryumfie, dając mu w ten sposób do zrozumienia, by rozgłaszał go swem popularnem piórem po całym świecie. „Notre dame de Czenstochow c'est mise à coqueter avec le general maior Golitsine“, pisze w jednym z tych listów, dodając dalej z większym jeszcze cynizmem a mniejszą dozą dowcipu, że nuncyusz Durini odjeżdża z Polski „parce que l'incredulité des Polonais a empêché les miracles de cette image, fertile en pareilles productions“. Imperatorowa dowcipkuje sobie, a przecież jaka radość bije z obu tych pism, jakie zadowolenie, że Jasna Góra, owa forteczka tak nieznaczna i tak przecież licho obwarowana, została nareszcie zmuszona do przyjęcia załogi rosyjskiej.

Za wielkie zwycięstwo wojsk rosyjskich musiał widać i Fryderyk uważać wzięcie Częstochowy, skoro się tą sprawą zajmował w paru listach, a otrzymawszy pewną wiadomość o jej kapitulacyi, poleca swemu posłowi złożyć z tego powodu powinszowanie imperatorowej rosyjskiej. Z listów tych widać, jak wielką wagę przywiązywano nie tylko w Rosyi, ale i w innych krajach ościennych, do kapitulacyi Częstochowy, widać też, jak ważnem i jak w całym świecie znanem stało się wówczas to miejsce, dzięki dzielnej jego obronie przez Pułaskiego. Wszakże Częstochowę nazywano poprzednio kurnikiem w wojsku polskiem; „une bicoque“ nazywał ją Fryderyk Wielki, a teraz o wzięciu tego kurnika rozpisywała się Katarzyna do Voltaire'a, a król pruski składał specyalne powinszowania, że wojska rosyjskie zdołały ową „bicoque“ opanować.

Całość czyta się bardzo zajmująco z powodu żywego przedstawienia wydarzeń. Szkoda tylko, że część ilustracyjna nie została wykonana staranniej, zarówno bowiem odbicie rycin, jak też map pozostawia niejedno do życzenia wobec wysokiego u nas rozwoju sztuki graficznej.

Zet.

Stodor Adam. **Powieści wojenne** napisał.. (Biblioteka Macierzy Polskiej. nr. 101). Lwów. 1917. Nakładem Macierzy polskiej. 8-ka str. 96, cena 1 kor. 50 hal.

W ciągu 20 prawie lat swojej działalności pisarskiej ogłaszał autor tej książki rzeczy z najrozmaitszych gałęzi literatury twórczej

i odtwórczej, a zatem: poezye, dramaty, nowelki, szkice krytyczne, ale ani jedna z jego rzeczy nie wznosiła się ponad pospolitość zwyczajną, nie wykraczała poza miernotę. Wojna wywołała u tego płodnego autora nowy rodzaj literatury, co prawda zupełnie nieoczekiwanie: rodzaj, który Niemiec tak trafnie określa mianem „Schundlitteratur". Poza nowelką p. n. „Pokój wam", w której jako tako jeszcze wyszła sylwetka księdza Brzostka, poległego na polu walki i mającego cudowne widzenie przyszłych losów Ojczyzny tuż przed zgonem samym, pozostałych sześć opowiadań to istny chwast literacki, którego wyplenianie jest obowiązkiem krytyki. A już wprost na skandal zakrawa wydanie tych rzeczy w „Bibliotece Macierzy polskiej"! Przeciwko marnotrawieniu grosza publicznego na drukowanie tego rodzaju pseudoliterackich elukubracyi musimy zaprotestować jak najgoręcej. Opowieści bowiem p. Stodora absolutnie niczem nie zalecały się do wydania ich w „Bibliotece Macierzy", mającej tak piękne tradycye za sobą, bo i pomysły w nich zużytkowane i sam nawet ich język są nadzwyczaj marne.

Dr. St. Zdziarski.

OGŁOSZENIE.

Zarząd Szkoły gospodyń w Szynwałdzie podaje niniejszem do publicznej wiadomości, że z dniem 15. września b. r. rozpoczyna się rok szkolny.

Zgłoszenia należy nadsyłać najpóźniej do 1. września b. r. pod adresem Zarządu szkoły gospodyń w Szynwałdzie. — Tam też zwracać się należy po szczegółowe wyjaśnienia.

PROŚBA.

Uprasza się tego Przew. Księdza Proboszcza *we Lwowie*, w którego parafii podczas wojny zmarła i pochowaną została Zofia Waligórska, wdowa po krawcu, ażeby rok i dzień śmierci wspomnianej Zofii Waligórskiej podał łaskawie prywatnie do wiadomości Redakcyi Gaz. Kościelnej.

Wiadomości dyecezyalne.

Dyecezya przemyska.

Przeniesieni XX. wikarzy: Adam Czubek z Biecza do Dobromila, Franciszek Kiełbicki z Jasła do Biecza, Franciszek Reising z Woli zarzeckiej do Łętowni.

Urlop dla poratowania zdrowia otrzymali: XX. Władysław Makowiec, kat. gimn. w Samborze, na przeciąg jednego roku; Alojzy Sierzęga, wik. w Dobromilu, na $2^1/_2$ miesięcy.

Zastępstwo katechety gimn. w Samborze powierzono X. Janowi Bazylskiemu, dotychczasowemu kat. szk. wydz. żeń. im. św. Jadwigi w Przemyślu.

Zmarł X. Antoni Sękowski, prob. w Bachórzu i poddziekani dynowski, w 47 r. życia a w 26 r. kapłaństwa. — *R. i. p.*

Na fund. pras. złożył X. Lachiewicz (z Powitna) 12 kor.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.

Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.